

J.K. Kukuła

Uśmiechnij się do anioła

Tom I

Oczy anioła

Czy jedno spojrzenie w czyjeś
oczy może odmienić życie?



J.K. Kukula

Uśmiechnij się do anioła

TOM I

Oczy anioła

JQ-Selfpublishing

2022

Copyright © 2019/2022 by J.K. Kukuła

Wszelkie prawa zastrzeżone! Kopiowanie, adaptowanie, tłumaczenie i publikowanie treści niniejszej powieści w całości lub we fragmentach dowolną techniką i w dowolnym celu, z wyjątkiem cytowań, bez pisemnej zgody autora jest zabronione.

Wszystkie postaci i zdarzenia przedstawione w powieści są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest całkowicie przypadkowe.

Pragnę podziękować wszystkim osobom, w szczególności Alicji, Beacie i Agatce, które poświęciły swój czas, przyczyniając się do poprawienia jakości myśli i tekstu.

Redakcja: Helena Piecuch, Barbara Żołądek

Korekta: Barbara Żołądek

Skład, projekt okładki: J.K. Kukuła

Elektroniczne wydanie I

Wydawnictwo: JQ-Selfpublishing

ISBN kolekcji e-book PDF: **978-83-953310-5-3**

ISBN Tomu I e-book PDF: **978-83-953310-6-0**

Inne wydania - nry ISBN:

- wydanie papierowe – oprawa miękka: **978-83-953310-2-2**

- wydania elektroniczne:

format EPUB: **978-83-967071-0-9**

format MOBI: **978-83-967071-4-7**

FURIA!!! Tak, to dobre słowo na określenie tego, co działo się we wnętrzu Wendy i co kazało jej wybiec z hotelowej jadalni, trzaskając przy tym drzwiami z taką siłą, że ze ścian pospadały obrazki. Lecz chociaż to słowo jest pojemne i nośne, to jednak nie idealne – ponieważ nie wyraża dostatecznie dobitnie nasilenia i złożoności emocji targających nią owego poranka.

Przede wszystkim była rozdrażniona i zła, bardzo zła. Na niego i na siebie. Na siebie zwłaszcza. Na siebie była wprost wściekła! Jak mogła dopuścić do takiego finału?! Jak mogła pozwolić, by nerwy tak ją zawiodły?! Ją, wzór opanowania, o której żartowano, że nikt nie zdoła ją zirytować na tyle mocno, by usłyszeć coś dosadniejszego niż chłodne: „Proszę dać mi spokój i odsunąć się ode mnie co najmniej na dwa jardy”. Ją, mistrzynią radzenia sobie z natrętami, przed którą, nie bez racji, ostrzegano cytatem: „Ona jest jak róża, zachwyca obietnicą czystego piękna, lecz uważaj, jeśli dasz się temu zwieść, ukłuje do krwi”.

Oprócz wściekłości, złości i rozdrażnienia kłębiły się w niej także mroczne uczucia żalu, smutku, wstydu, obrzydzenia – albo

raczej zniesmaczenia – i wreszcie nieprzyjemnego rozbawienia. Tak – rozbawienia! Bo czyż nie jest zabawne, że gdy sprawy szły najgorzej, jak tylko mogły (no dobrze, zawsze może być gorzej), to koleś, z którym będzie musiała współpracować przez wiele dni, szanowny smarkaty pan producent Ronald, tak bezcere-monialnie, tak obcesowo, cynicznie i tak w gruncie rzeczy bez-myślnie, wykorzystując tę ostatnią, upokarzającą ją historię, postanowił zaaranżować sobie romansik? I to w dodatku pod idio-tycznym pretekstem pocieszenia jej i niesienia pomocy w przy-wróceniu, jakoby utraconej przez nią, czci!

O, mężczyźni, dlaczego wobec kobiet tak łatwo przychodzi wam okazywanie zadufania w sobie, arogancji, a w istocie pogardy, podczas gdy obnażacie tym jedynie własną głupotę i słabość? A ona sama? Czyż właśnie nie okazała słabości, dając się tak podejść?

W swoim dosyć krótkim życiu nieraz spotykała chamskich, na-chalnych facetów. I nierzadko zdarzali się wśród nich osobnicy, równie jak Ronald bezczelni oraz pozbawieni empatii. Niemniej, zwykle mało co z tego wynikało. Ot, epizody z udziałem durniów, które znaczyły dla niej nie więcej niż ptasie guano na masce świe-żo umytego samochodu – przelotnie psuły nastrój. Ale nie tylko, pozostawiały bowiem również cierpkie wrażenie, że wystarczyła-by ledwie odrobina taktu, a przykra chwila mogłaby się stać chwi-lą przyjemną.

Z biegiem lat uodporniła się na takie sytuacje i, jak do tej pory, zawsze umiała znaleźć odpowiedni sposób, aby naprzykrzające się osoby usadzić jednym zdaniem lub samym ostrym spojrzeniem. A w szczególności potrafiła nie pozwolić im na dotarcie do jej

podatnych na zranienie miejsc, pieczołowicie chroniąc się przed bólem. Teraz jednak nie zdołała skutecznie się zmobilizować. No i stało się!

Jeszcze nigdy nikt nie wywołał w niej aż takiej reakcji, aż tak szaleńczej furii, w jaką wprowadził ją Ronald. Bo nigdy nie było u niej aż tak źle – w jej sercu od miesięcy panował mrok, a i widoki na najbliższą przyszłość rysowały się w przygnębiająco ciemnych barwach. No i Ronald, najwyraźniej nie do końca świadomie, wyjątkowo celnie dźgnął ją we wrażliwy punkt. A ona nie znalazła w sobie dość siły, by w porę osłonić się tarczą chłodnej obojętności. I nie obroniła się. I poczuła ból.

A zaraz potem eksplodowała niczym parowy kocioł, pod którym palił się już zbyt duży ogień.

Kilka godzin wcześniej Wendy Emmerson, młoda brytyjska aktorka, wyprosiła, a precyzyjniej rzecz ujmując, wypchnęła ze swojego pokoju dość przystojnego, niespełna trzydziestoletniego producenta filmowego o imieniu Ronald, który już na lotnisku w Londynie niedwuznacznie sygnalizował, że najbliższą noc mógłby spędzić właśnie z nią. Z początku wydawało się jej to nawet nęcące; on był czarujący, rozmowny, dowcipny, a ona samotna, zdołowana oraz wkurzona na siebie, że pomimo niedawnych przejść nie wycofała się i leci teraz do Polski, by w jakiejś małej miejscowości, której nazwy nie potrafiła zapamiętać, zagrać dramatyczno-romantyczną rolę, której nie będzie w stanie podołać.

W samolocie, zaraz po rozpięciu pasów, Ronald kontynuował uwodzenie jej, czemu nie była całkowicie przeciwna. Najpierw jednak nie omieszkał dokładnie poinformować Wendy o detalach swojego życia: po ukończeniu studiów humanistycznych i podejmowanych bez sukcesu próbach zaczepienia się w filmie w charakterze operatora, aktora bądź reżysera, ostatecznie wylądował jako wspólnik filmowej spółki producenckiej. Jego inicjalnym zadaniem miał być nadzór nad przebiegiem realizacji zdjęć do filmu pod roboczym tytułem *Żona szpiega*, w którym to właśnie Wendy miała zagrać rolę tejże żony. Po wyczerpaniu wątku autoprezentacji (nie tak zupełnie do końca, gdyż o swoim kilkuletnim związku ze straszą od siebie kobietą nie zająknął się słowem) przerzucił się na temat owego inicjalnego zadania, co i rusz punktując przyszłe trudności, z którymi bez wątplenia sobie poradzi, oraz podkreślając swoje dotychczasowe zasługi.

Słuchała tych wywodów z uprzejmym zainteresowaniem, lecz i z pewnym niesmakiem, ponieważ nie przypominała sobie, by w toku produkcji wykazywał dużą aktywność. Ot, widziała go raz czy dwa, gdy na krótko zajrzał na spotkania reżysera z kluczowymi aktorami; najcięższą robotę odwalali jego starsi współpracownicy – cóż, Ronald to syn grubej ryby świata show-biznesu. Niemniej później ich rozmowa, po rzuceniu przez niego paru komplementów pod jej adresem, nabrała przyjemniejszego, a nawet sympatycznego charakteru, aczkolwiek, co Wendy zauważyła dopiero w hotelu, w dalszym ciągu kręciła się głównie wokół jego osoby.

Sypał anegdotami ze studiów, interesująco opowiadał o przygodach, jakie przeżył podczas wyprawy do Tybetu, i długo rozprawił o swoim zamiłowaniu do kina oraz aktorów, nie zapominając przy tym napomknąć, że wciąż jest fanem młodzieżowej sagi, w której ona zagrała najważniejszą kobiecą postać, czemu szczególnie chętnie nadstawiła ucha. I była mu wręcz wdzięczna za to, że z biegiem tej niezobowiązującej pogawędki jej pesymistyczne nastawienie do siebie i do tego, czego się podjęła, szybko traciło moc. Podobnie jak początkowo nieprzychylnie nastawienie do Ronalda.

Kiedy jednak w drodze z warszawskiego lotniska na Warmię zasugerował, że zawód producenta filmowego traktuje nie tylko serio, lecz i niezwykle szeroko, nie pomijając przywilejów towarzyszących tej profesji, czar prysł. Uprzytomniła sobie bowiem, że owo szerokie traktowanie polega głównie na oczekiwaniu od aktorek i innych zaangażowanych w produkcję filmu kobiet, i to nie wyłącznie młodych oraz wolnego stanu, by były gotowe sprostać jego seksualnym zachciankom. W końcu stało się też dla niej

jasne, że jemu wcale nie chodzi o romans; ona miała być jego pierwszą ofiarą, czyli pierwszą aktorką, która powinna przespać się z nim jako producentem, a nie po prostu – facetem.

To spostrzeżenie zmroziło ją, chociaż nie była w branży nowicjuszką i nie raz zetknęła się z molestowaniem ze strony producentów, reżyserów czy starszych, acz niekoniecznie bardziej od niej szanowanych aktorów. To i owo także słyszała, a raz była świadkiem tego rodzaju incydentu, który dzięki jej obecności szczęśliwie nie zaszedł zbyt daleko. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że druga strona – to znaczy młode, debiutujące aktorki, ale i te starsze, szczyt popularności mające za sobą – nie była bez winy; tu każdy ma sporo do ugrania, to prawie każdy w to gra. Również jej samej nie wypadaloby z ręką na sercu stwierdzić, że nigdy w tej grze nie uczestniczyła. Dopisywało jej tylko nieco więcej szczęścia niż innym.

Pierwszą rolę w filmie otrzymała, gdy była jeszcze dzieckiem, i wtedy takich zachowań nikt od niej nie oczekiwał – albo ojciec dobrze jej pilnował. Ale kiedy skończyła piętnaście lat, została kochanką producenta sagi, w której jako dziesięciolatka rozpoczęła swoją aktorską przygodę i w której jeszcze przez kilka kolejnych lat występowała, z ogromnym, zresztą, powodzeniem. A jej „szczęście” polegało na tym, iż nie mogłaby powiedzieć, że był to, z jej punktu widzenia, seks z wyrachowania. Nie, to zdecydowanie nie był układ, „przysługa za przysługę” – ona naprawdę była w Aaronie zakochana, a co najmniej mocno nim zafascynowana. Bo i nic zaskakującego w tym, że młodej dziewczynce imponował pan w wieku jej ojca cieszący się u wszystkich posłuchem, kilkoma słowami łagodzący konflikty, do jakich dochodziło na planie,

potrafiący pięknie przemawiać o aktualnie tworzonemu filmie i równie pięknie o przyszłych produkcjach z nią jako gwiazdą. A później dorastającej nastolatce podobał się jako przystojny oraz władczy mężczyzna, otaczający ją opieką i darzący podziwem, dzięki czemu czuła się spełnioną aktorką i zadowoloną osobą.

Mimo wszystko Wendy nie uważała swojego romansu za coś pożytecznego czy choćby tylko korzystnego z perspektywy zawodowej, ponieważ, jak sądziła, nie uzyskała dzięki niemu niczego szczególnego. Nawet tego, co obserwowała u innych aktorek związanych z kimś ważnym w ich branży – dla nich bowiem takiego rodzaju relacja stanowiła zazwyczaj coś w rodzaju immunitetu zabezpieczającego przed natarczywością innych (no, raczej tylko tych mniej ważnych) członków filmowej społeczności; jej związek z Aaronem skutecznie udawało się utrzymywać w sekrecie.

Za to gdy nieco dojrzała, przestała też uważać ten romans za coś „normalnego”, a to dlatego że Aaron był żonaty. I to sprawiło, że rok po roku narastała w niej odraza – tak do niego, jak i do siebie. Nie z powodu konieczności godzenia się na zajmowanie pozycji tej drugiej – nie było w niej aż tyle pychy, by żądać dla siebie pierwszeństwa. Po prostu coraz trudniej było jej znieść fakt, że akceptując trwanie ich związku, pomagała temu mężczyźnie w łamaniu złożonej przez niego przysięgi małżeńskiej, czym okaleczała jego rodzinę, jego żonę, a zwłaszcza jego dzieci tak, jak ktoś kiedyś okaleczył ją.

Ale to już przeszłość. Zerwała z nim na dobre i teraz nie zamierzała ulegać czarowi następnego producenta, choćby tak błyskotliwego i młodego jak Ronald!

Jeszcze zimą uzgodniono, że brytyjska ekipa filmowa przyjedzie do Polski w trzech turach; Wendy razem z reżyserem, operatorem i całą brytyjską obsadą miała przybyć w ostatniej, w drugą niedzielę maja po południu. Tymczasem tuż przed podróżą dowiedziała się, że wyjedzie już w sobotę. Rzekomo po to, by się zaaklimatyzować, gdyż kręcenie zdjęć zacznie się od scen z jej udziałem oraz od razu będą to sceny istotne. Uwierzyła, a i przypadł jej do gustu ten pomysł, nie protestowała więc. Dopiero w trakcie podróży zrozumiała, że do przyśpieszenia jej wyjazdu musiał doprowadzić Ronald.

W miarę zbliżania się do hotelu jego natarczywość, granicząca z impertynencją, stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Mimo to nadal łudziła się, że ten dodatkowy dzień przyda się jej, o ile Ron w końcu przestanie się naprzykrzać. Gdy siadali do kolacji przy stołach ustawionych w kształt podkowy, Ronald zajął krzesło obok niej i od pierwszych minut z demonstracyjną galanterią obsługiwał jej, głośno ją przy tym wychwalając oraz prawiąc, ku jej rozpaczy, prostackie komplementy.

Sprawiło to, że nie tylko nabierała do niego coraz większej niechęci – czuła się również skrępowana i upokorzona jego zachowaniem. Obawiała się przy tym, że przez ciągłe zwracanie uwagi na jej osobę atmosfera kolacji zrobi się sztywne. Ale nie miała zamiaru godzić się, by popsuł jej oraz innym ten wieczór. Nie zamierzała też opuszczać zgromadzonego na sali towarzystwa zbyt wcześnie, żeby nie wzięto jej za napuszoną gwiazdę, co to gardzi towarzystwem akustyków i wózkarzy. Ponieważ, rzecz jasna, tak nie było – ona z całym przekonaniem liczyła, że wszyscy obecni

na posiłku poczują się partnerami, równorzędnymi uczestnikami przedsięwzięcia i, jak to przy poprzednich produkcjach bywało, z miejsca się ze sobą, jej nie wyłączając, zaprzyjaźnią.

A na tym zależało Wendy szczególnie, zważywszy, że w całej ekipie nie było nikogo, kto przedtem by z nią pracował. Nawet jej osobistej ochroniarce wypadł w ów pierwszy zdjęciowy poniedziałek pogrzeb w USA, w związku z czym na ten niełatwy tydzień przydzielono Wendy byłego policjanta, z którym przed wyjazdem zamieniła najwyżej parę słów.

Koszmar!

Lecz nie to okazało się dla niej najtrudniejsze. Przez lęki, z którymi tu przybyła, w głębi duszy pragnęła stać się niewidzialna albo chociaż pozostawać w cieniu tak długo, na ile to będzie możliwe. A Ronald nieustannie ją wyróżniał i, oświetlając reflektorem swoich niewyszukanych pochlebstw, wydobywał z upragnionego cienia.

Początkowo starała się zachowywać dystans względem nadska-
kującego jej Ronalda. Odzywała się zdawkowo i z na tyle chłodną
uprzejmością, aby zorientował się, że jego zachowanie jej nie od-
powiada. Daremnie. Zaciskała jednakowoż zęby, by nie dać po so-
bie poznać, w jak szybkim tempie rośnie w niej nienawiść. Była
wszak skazana na jego towarzystwo co najmniej do końca jutrzej-
szego dnia, kiedy dotrą tu także inni aktorzy oraz reżyser.

Po pół godzinie postanowiła zmienić taktykę i już bez ogródek
studziła zapały Ronalda. Ten jednak uparcie nie reagował na jej
zrazu rzeczowe, potem zrzędliwie żartobliwe, a na ostatek podszy-
te ostrym sarkazmem sugestie, żeby zmniejszył swoje zaangażo-
wanie wobec jej osoby, a więcej energii poświęcił integrowaniu się

z resztą ekipy. Z upływem czasu sytuacja niestety się pogarszała, a wraz z pojawieniem się na stole alkoholu stała się wręcz groteskowa (alkohol podano tego wieczoru, jako że nazajutrz czekał ich jeszcze jeden wolny dzień; później picie alkoholu było przez reżysera tępione skuteczniej, niż to miało miejsce w epoce amerykańskiej prohibicji).

Niemożność zapanowania nad poczynaniami Rona wyprowadziła ją w którymś momencie z równowagi. Uznała, że bez względu na koszty należy radykalnie skończyć to żenujące i niemiłe dla niej – a zapewne i dla pozostałych – przedstawienie. Wstała, wymówiła się zmęczeniem po podróży, pożegnała zebranych i udała się do swojego pokoju.

* 3 *

Ledwie wyszła spod prysznic, usłyszała pukanie. Nie przewidując niczego złego, narzuciła szlafrok na mokre ciało i otworzyła. Przed nią stał Ronald ze skruszoną miną, bąkając słowa przeprosin.

Jej czujność musiała być tego wieczoru zupełnie gdzie indziej, ponieważ kiedy spytał, czy mógłby na minutkę wejść, wpuściła go. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, natychmiast zmienił ton. Zalał ją potokiem pretensji oraz żalów do tego pozbawionych, co typowe dla podchmielonych ludzi, składu i sensu. Próbowała łagodnie przerwać mu tę żalospną tyradę (jej chłodna asertywność wraz z przytomnością umysłu oraz niemałymi zasobami ciętych ripost bezapelacyjnie zostały w Londynie), ale osiągnęła tyle, że Ronald ponownie zmienił ton i tym razem otwarcie nawiązał do ostatnich zdarzeń z jej życia, najdłużej skupiając się na rozstaniu

z Adrianem. Opowiadał jakieś banały o tym, jacy faceci są głupi, że nie doceniają takich kobiet jak ona, porzucając je dla zepsutych aktoreczek o podejrzanym reputacji. Mówił, że nic nie warty koleś ją skrzywdził, okrył hańbą, i temu podobne.

Następnie zaś, w karykaturalnie napuszony, a jednocześnie ordynarnie bezczelny sposób, zaoferował jej swoje towarzystwo, prezentując siebie jako jedyne, tu i w ogóle, prawdziwego pocieszyciela, niemalże wybawcę. Przekonywał przy tym o wyjątkowości i niezbędności jego wsparcia w łagodzeniu, rzekomo przez niego doskonale rozumianego, bólu po przeżytych dramacie. Deklarował, że przywróci jej utraconą cześć.

„Jaką cześć, do cholery?” – przemknęło jej przez myśl i w tej chwili stwierdziła, że nie powinna tego dłużej znosić.

– Nie tym tonem, nie teraz i nie ze mną – syknęła przez zaciśnięte zęby oraz parsknęła krótkim, nerwowym śmiechem.

A potem osłupiałego Ronalda mocno ujęła pod ramię i, zanim się zorientował, błyskawicznie wypchnęła na korytarz, na wszelki wypadek zamykając drzwi na zasuwkę. Nasłuchiwała, aż upewniła się, że zszedł na dół. Zrzuciła szlafrok i położyła się na łóżku.

Noc była ciemna, cicha i parna. Zbierało się na burzę. Wendy wierciła się i, na zmianę, to przykrywała, to odkrywała, nie potrafiąc znaleźć wygodnej pozycji. W końcu wstała i podeszła do uchylonego okna. W pobliskiej latarni migotała uszkodzona świetlówka. Po kilku sekundach zgasła. Do uszu Wendy wsącał się narastający szum wiatru i wreszcie pierwsze krople deszczu zabębniły o szybę.

Zamknęła okno i starała się koncentrować na przybierającej na sile ulewie oraz na nasłuchiwaniu pomruków odległych grzmotów. Dźwięk wydobywający się ze smartfona przyjęła bez emocji, ale gdy zobaczyła, że to dzwoni Ronald, z obrzydzeniem odwróciła aparat ekranem w dół. Po kwadransie Ronald zadzwonił powtórnie, a nie doczekawszy się połączenia, wysłał dwa SMS-y. Nie odczytała ich. Wyłączyła telefon i ze złością wrzuciła go na dno szuflady nocnej szafki.

* * *

W podróż do Polski Wendy wyruszyła w ponurym nastroju nie tylko dlatego że ostatnie miesiące obfitowały w trudne przeżycia.

Przede wszystkim zadreczęła się rolą, dla zagrania której tutaj przybyła, choć przecież to ona sama wybrała scenariusz. Tylko Adrian popierał jej wybór. Agent bardzo odradzał przyjęcie tego typu roli, ojciec był sceptyczny, a Aaron pokpiwał, że polegnie z krete-sem i będzie tego kaprysu żałowała. Mimo iż ceniła ich opinie, uparła się i postawiła na swoim.

Cóż, wtedy najzwyczajniej nie brała pod uwagę innej opcji. Była zakochana oraz szczęśliwa i scenariusz przepojony miłością wydawał jej się czymś absolutnie nieodzownym. Lecz słodki, romantyczny film w rodzaju *Notting Hill* czy *Masz wiadomość* nie wchodził w rachubę. Potrzebna jej była rola kobiety zakochanej tragicznie i do szaleństwa. Opowieść o miłości żarliwej, głębokiej, rozniecanej potężnymi emocjami. O miłości silnej i konsekwentnej, która niczym się nie zraża, która pokona każdą przeszkodę i przetrwa.

Scenariusz *Żony szpiega* był właśnie taką opowieścią, a Laura Presly, tytułowa żona i główna postać, desperacko i z poświęceniem walcząca o wyrwanie ukochanego mężczyzny z rąk policji politycznej, w które dostał się po aresztowaniu, w pozostającej wtedy pod sowiecką okupacją powojennej Polsce, pod fałszywym zarzutem działania na rzecz wywiadu Jej Królewskiej Mości, zdawała się wprost idealnie spełniać oczekiwania Wendy. Tym bardziej że Laura walczyła samotnie, gdyż nie mogła liczyć na pomoc brytyjskiej dyplomacji – jej mąż popadł bowiem w niełaskę, po tym jak dwukrotnie odmówił wywiadowczej współpracy i w dodatku angażował się w pomoc represjonowanym żołnierzom AK w przedostaniu się do Wielkiej Brytanii, co naruszało oficjalny paradygmat ówczesnej polityki Zjednoczonego Królestwa.

Grała w filmach od lat, ale dopiero w tamtych dniach po raz pierwszy w swojej karierze poczuła, że mogłaby się odważyć na taką rolę; więcej – że ma obowiązek taką rolę zagrać. I była pewna, wówczas była pewna, że zrobi to znakomicie. Bagatelizowała głosy mówiące, że nie jest to rola dla niej, że zanadto odbiega od jej emploi, że budżet jest mizerny, zdecydowanie poniżej jej kategorii, i że projektem zajmuje się reżyser mający na koncie spektakularną klępkę. Producenta wysuwającego analogiczne obiekcje jakimś cudem zmusiła, aby dał jej szansę, chociaż casting był praktycznie zakończony. W ciągu weekendu nauczyła się roli na pamięć i w trakcie zdjęć próbnych dowiodła, że zasługuje na nią bardziej niż nieomal już obsadzona Lily Luft.

Gdy, zgodziwszy się ostatecznie na dosyć skromne warunki, podpisała kontrakt, cieszyła się jak dziecko. Teraz łykała gorzkie łyzy, przyznając agentowi i innym rację. Ta rola faktycznie nie była

dla niej, a co najmniej nie przy tak depresyjnym nastawieniu do relacji damsko-męskich, w jakim się po zdradzie Adriana pograżała. Oczywiście potrafiłaby pokazać miłość, gdyby nadal była w nim zakochana. Ale to uczucie już nie istniało; wystarczyło kilka dni i po miłości nie został ślad. Nie, nie, pozostały liczne ślady. W sercu, w pamięci. Tylko samej miłości nie było.

Jak zatem miała zagrać skomplikowane stany roznamiętnionej duszy, skoro ich nie doznawała i niestety nie dysponowała odpowiednim warształem oraz adekwatnymi aktorskimi doświadczeniami? Przez lata swojej kariery ani razu nie otrzymała roli zakochanej kobiety. Same przygody, intrygi, bajki i baśnie, ucieczki i pościgi, zagadki, żarty, podrywy, flirty, ale miłość – nigdy. Jasne, że starała się podszkolić, wzięła parę lekcji, lecz przedtem zbyt wiele się u niej zadziało... Najpierw choroba matki i jej śmierć – przyszła zbyt prędko, zbyt niespodziewanie, a ona nie znalazła czasu, żeby chorą matkę odwiedzić. Potem zdrada Adriana, pierwszego w jej życiu mężczyzny, wobec którego zaczynała mieć poważne zamiary.

Było jej z nim dobrze. I bez wahania przysięgłaby, że jemu z nią także. Po śmierci matki zachowywał się wspaniale i dużo mu zawdzięczała. By ją pocieszyć, nawet się oświadczył. I było coraz piękniej. Aż do tego chrzanionego zimowiska. Puf! Kolorowa bańka pękła.

A dzisiaj... ten upierdliwy Ronald odbiera jej ostatnie iskierek nadziei, że jutro mogłoby stać się coś, co pozwoliłoby uniknąć totalnej katastrofy. Tak więc w poniedziałek rano wszyscy pojną, że ogromny wysiłek, jaki włożyli w przygotowanie tej produkcji, wypadnie uznać za kompletną stratę energii.

Burza minęła, ale wciąż było duszno. Wendy spała niespokojnie, budząc się i nasłuchując. Zdawało się jej wtedy, że słyszy jakieś szmery na korytarzu albo że ktoś puka do drzwi.

Znowu się obudziła. Dniało. Wstała, podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Owionęło ją chłodne, pachnące ozonem i bzym powietrze majowego przedświtu. Przymknęła okno i wróciła do łóżka. Do śniadania pozostało kilka godzin. Zapadła w płytką drzemkę. Śniła.

* * *

Kiedy pierwszy promień ukrywającego się jeszcze za horyzontem słońca oświetlił krzyż wieńczący wieżę ascetycznego w formie, gotyckiego kościoła, na dachu przykrywającym jego nawę bezszelstnie przysiadł anioł. Usadowił się wygodnie na zaśniedziałej kalenicy i rozejrzał z zaciekawieniem.

Większość pokrywającej świątynię blachy, mocno spatynowanej, wydawała się bardzo stara i jedynie wieża kościoła pyszniła się rudą barwą nowej miedzi; najwidoczniej trwał właśnie remont. Przenosząc wzrok dalej, anioł podziwiał okazałe budynki, publiczne i mieszkalne, pokryte czerwoną dachówką, z trudem mieszczące się na rozległym wzgórzu, na którego zboczach rozlokowały się mniejsze domostwa. Pokrywane w kolorowych od kwiatów ogrodach otaczały miasteczko luźnym pierścieniem, tworząc coś na kształt misternej, barwnej koronki obramowującej drogocenny kamień – główną ozdobę broszy. Wokół miasteczka rozpościerały się łąki i pola, z lekka pofałdowane, upstrzone pojedynczymi zabudowaniami, kępami krzaków i drzewami. Gdzieniedzie widać było

błękitne plamy jezior. Z południa na północ przemykała połyskująca w słońcu nitka torów kolejowych, kryjąca się co i rusz w cieniu niewielkich zagajników.

Chwilę później na niebieskozieloną, roziskrzoną poranną rosą połąć dachu świątyni padł wąty cień. Ledwie zarysowany, nie całkiem wypełniony, jakby rzucony przez byt przeźroczysty, zgoła niematerialny. Drugi anioł wylądował nieopodal pierwszego i teraz mościł się, powoli składając przejrzystobiałe, ogromne, a zarazem delikatne i zwiewne niby mgła skrzydła.

– Witaj, bracie. Ach, jakież piękny poranek – rzekł pierwszy anioł.

– Zaiste. Pan to nader dobrze obmyślił i również za to jest godzien nieustającej chwały – odpowiedział drugi, z zachwytem spoglądając na pola wyłoczone kwitnącym, wilgotnym od niedawnego deszczu rzepakiem. – Czyżbyśmy się tu zjawili dla tej samej osoby?

– Nie sądzę. Ten, dla kogo tu przybyłem, jest, co prawda, pogrążony w głębokim smutku, ale nie jest w takiej desperacji, aby wymagał pomocy nas obu. To nietutejszy – dodał po krótkiej pauzie.

– Spytałem ot tak, dla nawiązania rozmowy. Gdyby była to sprawa dla dwóch, wiedzielibyśmy o tym. Niewiasta, dla której ja tu jestem, też nie jest stąd. Ba, nie pochodzi z tego kraju. Od wczoraj mieszka tam, w hotelu – ruchem głowy wskazał miejscowość rysującą się na horyzoncie.

– On także nie mieszka w tym miasteczku. Wynajął dom w małej wiosce za tamtym pagórkiem. – Anioł zerknął na dominującą po przeciwnej stronie wzgórze, zwieńczone ruiną jakiejś starej budowli. – Jak to mówią na ziemi, szmat życia za nim, a ja dopiero

dziś mam sposobność do interwencji. Ale nie żebym narzekał. Mocny gość, lecz... tym razem... Śmierć żony go zdruzgotała.

– Przed tobą ciężkie zadanie. Gdy w kimś mocnym coś pęka, zwłaszcza kiedy zaczyna się wchodzenie w smugę cienia, nie jest łatwo to poskładać. Jedno spojrzenie w nasze oczy, poparte choćby najpiękniejszym uśmiechem, może tu nie wystarczyć.

– Tak, sporo wskazuje, że jego myśli nie idą w dobrym kierunku, dlatego nie mogę zwlekać. Smuga cienia, powiadasz... Nie, to nie jest dobre określenie na wiek dojrzały. A w szczególności nie pasuje do niego. To nie cień padł na jego duszę, a jedynie przysłało jej światło. Ale chcę wierzyć, że nie na cały dany mu jeszcze tutaj pobyt. Szkoda by było. Bo z natury to pogodny człowiek. I przy tym jeden z tych, którzy sprawdzają się, gdy trzeba pomóc innym, mógłby więc nadal...

– Nawet my nie znamy długości ścieżki wyznaczonej danemu człowiekowi.

– A mimo tego nie wolno przestać próbować. Sugerujesz, że spojrzenie w moje oczy może nie wystarczyć? Ale... miłość... tuż po tym przez co przeszedł?

– Na pozór będę miał prościej, ona jest młoda, ale i dla niej samo spojrzenie... – Anioł w zadumie wpatrywał się w niebo. – Kilka miesięcy temu ją też dotknęła śmierć bliskiej osoby, a potem kolejna w jej życiu uczuciowa przykrość, tak obecnie rozpozsechniona. Wiesz, kiedyś gdy była małym dzieckiem, bardzo pomogła swojemu ojcu... i to bez naszej interwencji, choć jej serduszko niezmiernie wtedy cierpiało. Jeden uśmiech i parę słów w stosownym momencie to niby niewiele, ale dość, by zdarzył się cud. Rozgadałem się.

– Na wspomnienie o jej uśmiechu twoje oblicze zrobiło się jakby mniej wesołe. Wybacz, ale to trochę dziwne.

– Celne spostrzeżenie. Atoli gdybyś widział, jak ona potrafiła uśmiechać się dawniej, ta minorowa nuta w moich oczach nie zdziwiłaby ciebie.

– W takim razie bierz się do roboty. Nim sprawy skomplikują się jeszcze bardziej.

– Tyle... tyle że wciąż nie jestem pewien, w jaki sposób to zorganizować... Wczoraj puściły jej nerwy.

– Wygląda na to, że obaj rozpoczynamy ten uroczy dzień od złożonych przypadków.

– Nie da się ukryć. Jak mówiłem, ona mieszka w hotelu. Jest tam wprawdzie otoczona ludźmi, ale wśród nich nie ma nikogo, kto, uwzględniając ich nastrój i nastawienie do niej, sprostałby dziś temu delikatnemu posłannictwu.

– Tak, nieraz trudno znaleźć odpowiedniego człowieka w miejscu teoretycznie najdogodniejszym do działania. Ten mój z kolei mieszka samotnie, toteż i ja byłbym w kłopotcie, jeśliby został w domu. Wiem jednak, że wybiera się do tego kościoła na poranną mszę, spokojnie zatem na niego poczekam. Wśród parafian szybko znajdę właściwą osobę.

– Masz rację. Ja również tutaj poczekam. I ta piękna panorama...

Anioł zastanowił się, a następnie kontynuował, zwracając się bardziej do siebie niż do siedzącego obok:

– Gdyby udało się nakłonić ją do przyjścia na mszę, działabym na przyjaznym terenie. Jest niedziela, ładna pogoda. Tylko te emocje...

– Szczypta emocji zwykle się przydaje.

– Tak, tak, zwykle... Warto zawczasu dopiąć niektóre szczegóły... Na przykład, gdzie zatrzymać pociąg, żeby nie pobłądziła. – Rozejrzał się.

Przez minutę lub dwie anioły milczały. Słońce, pośród drobnych chmurek, pomału wzbijało się nad horyzont.

– Jeżeli dobrze rozumiem, jeszcze nie masz dla niej osoby? Ja też nie wybrałem. Jasne, kogoś na oku mam, ale gdyby tak...

– Połączyć siły? To byłoby dla nas wygodne, a i dobre dla tych dwojga.

– Otóż to. Ale nie bawmy się, proszę, w przewidywanie przyszłości. Na ludzkie życie wolno nam mieć pewien wpływ, mamy prawo coś sprowokować, coś zasugerować, w czymś pomóc albo w czymś przeszkodzić, lecz zasady wolnej woli człowieka nie mamy prawa naruszać. Będzie więc tak, jak oni zadecydują. My damy im jedynie sposobność... możliwość spojrzenia w nasze oczy. Jeśli będą umieli się wówczas uśmiechnąć, z całą pewnością je zobaczą. Reszta musi należeć do nich.

– Nie inaczej. Czyli – ustalone?

– Ustalone.

– Amen.

– Amen.

Anioły, zadowolone z pomysłu, wyczekując nadejścia ustalonej pory, zaniósł do nieba dziękczynną modlitwę, a po jej odmówieniu z lubością oddały się ciepłej pieszczocie słońca wędrującego nad polami i cierpliwie osuszającego liczne ślady porannych mgieł. Rozkoszując się urokiem poranka, nie rozpatrywały tego,

jak potoczy się dzień dwojga ludzi, dla których tutaj przybyły. Nie dociekały także przyszlých skutków aktu, jaki za ich przyczyną niebawem dokona się w tej świątyni i jak to zaważy na dalszych losach owych osób. Prorokowanie jest aniołom zabronione.

Były za to przejęte pomysłem połączenia swoich zadań w jedno, wierząc, a tego nikt im nie zabrania, że zwiększy to szanse na powodzenie ich misji. A nawet jeżeli nie zwiększy, to choć anioły przeważnie działają w pojedynkę, przyjemniej jest, kiedy coś dobrego robi się wspólnie.

* 5 *

Śniadanie miało być dopiero o dziewiątej, ale gdy o szóstej Wendy po raz kolejny się obudziła, już nie udało jej się zasnąć. Wstała zła, zmęczona fizycznie i wyczerpana psychicznie. Weszła do łazienki. Biorąc prysznic stwierdziła, że mały spacer przed śniadaniem dobrze jej zrobi. Postanowiła przejść się po hotelowym parku – sądząc z tego, co widziała przez okno, był rozległy i ładny. Ewentualnie wyjdzie też na kwadransik poza teren hotelu, o ile nie wypatrzy tam czegoś podejrzanego.

Pierwszy raz była w Polsce i chociaż nie zapamiętała nazwy miejscowości, w której przebywa, to ciekawiło ją, jak jest za ogrodzeniem ich rezydencji – przez natręctwo Ronalda podczas wczorajszej podróży nie zdołała bowiem przyjrzeć się okolicy, a lubiła wiedzieć, co może jej zaoferować miejsce, gdzie spędzi bity tydzień.

Przed wyjazdem ustalono, że nikt nie będzie informowany o jej wcześniejszym przybyciu, zakładała więc, że rzeczywiście nikt

ani nic nie zakłóci tej prywatnej przechadzki. Niemniej z wrodzonej ostrożności zamierzała nie oddalać się zanadto od hotelu. Ale jeżeli trafi się jakiś paparazzo, to niech sobie fotografuje. Jest zmęczona i w nie najlepszym humorze, jednak, jak się upewniła zerka-
jąc w lustro, specjalnie tego po niej nie znać. Owszem, mniej się uśmiecha niż w poprzednich latach, lecz przecież to, co ją ostatnio spotkało, nie jest tajemnicą. „A w dodatku skupiam się na swojej nowej, tym razem bardzo poważnej roli, dlatego nie spodziewajcie się po mnie przejawów wylewnej wesołości” – dopowiedziała, kończąc makijaż.

Ubrała się i, poddając krytyce swoje odbicie, z satysfakcją odnotowała, że prezentuje się cool w obcisłych, dżinsowych szortach oraz błękitnej bluzce w drobną kratkę. I gdyby ktoś ją sfotografował, i to przy tak pięknym słońcu, jakie akurat świeciło, nie byłoby obciachu. Mimo tej optymistycznej refleksji jej nastrój się nie poprawiał. Po wczorajszej kolacji czuła niesmak, a właściwie coś podlejszego – czuła po niej solidnego moralnego kaca. „Ronald jest młody i fakt, że został współnikiem uznanej w Hollywood firmy, najwyraźniej zawrócił mu w głowie. Ot, i tyle” – starała się go usprawiedliwić.

Przegiął, to było ewidentne, ale ufała, że profesjonalizm weźmie w nim górę i wczorajszy żaloszny spektakl się nie powtórzy. Było jej go również żal (odrobinę) oraz odezwały się wyrzuty sumienia, że wieczorem zareagowała na jego wywody nadmiernie surowo i że nie zdobyła się na rzeczową rozmowę, by wytłumaczyć mu, iż jej wczorajsze zachowanie błędnie zinterpretował, gdyż ona nie jest jeszcze gotowa na romans, ba, nie ma nawet ochoty na zbliżanie się do ludzi i pragnie raczej intymności oraz

spokoju. Powinna była mu też powiedzieć, że zwłaszcza nie oczekuje pocieszenia czy przywracania czci, której, na Boga, w ogóle nie należy w to mieszać.

Zastanawiając się nad tym, doszła do wniosku, że przynajmniej dobrze się stało, iż nie zareagowała aż tak twardo, jak niejednokrotnie się jej zdarzało. Jadąc tutaj nie czuła się wszak zbyt pewna siebie, ponieważ nadal było w niej więcej obaw niż entuzjazmu czy ekscytacji nowym filmem (szczerze mówiąc, tego dnia entuzjazmu nie odczuwała wcale), a już w poniedziałek rano przystępuje do pracy, tak ważnej i równocześnie tak trudnej. Tak trudnej, że aby jej sprostać, będzie potrzebowała wsparcia wszystkich osób znajdujących się na planie, a zatem także i Ronalda; każde przyjazne spojrzenie, każdy pomocny gest, każde dobre słowo będą cenne. Toteż nie powinna zrażać do siebie producenta, szczególnie że nie może liczyć „po starej znajomości” na wyrozumiałość reżysera bądź swojego filmowego partnera – ani zresztą nikogo z ekipy.

Ron jest przystojny oraz potrafi być sympatyczny, rozważała, i przypuszczalnie gdyby to był inny moment, inny jej nastrój, ale i gdyby on taktowniej się zachował – to kto wie, czy nie zostaliby dobrymi znajomymi. Tak, tylko znajomymi. Ponieważ obecnie absolutnie nie jest zdolna się zakochać. Za rok, dwa... niewykluczone, ale na bank nie tej wiosny. Co się zaś tyczy jego szowinistycznych oczekiwań, że ona mu się odda, ot tak, jak pierwsza lepsza aktorka swojemu producentowi – to naturalnie nie wchodzi w rachubę. Ani dziś, ani nigdy! I warto byłoby mu to jasno zakomunikować.

Wyszła z pokoju. Do jej uszu doleciały odgłosy krzątania na parterze, a do nozdrzy dotarł zapach świeżych bułek. To poprawiło

jej nastrój. Zamykając drzwi, podjęła decyzję, że po spacerze spotka się z Ronaldem i spokojnie z nim porozmawia, dlatego kiedy zobaczyła go u wylotu hotelowego korytarza, ucieszyła się. Sądziła, że przyszedł tu skruszony, żeby ją przeprosić, a ona rada była mu wszystko wybaczyć oraz puścić wczorajsze wypadki w niepamięć, byle jego przeprosiny nie okazały się zanadto rozwlekłe.

Jakież było jej zaskoczenie, gdy zamiast prośby o wybaczenie usłyszała, bez słowa przywitania, prawie że wykrzyczane połajanki. Wytykał jej, że wieczorem nie pozwoliła mu się wypowiedzieć, ale on nie da się tak łatwo zbyć i teraz ma zamiar ponownie przedstawić jej swój punkt widzenia, ona natomiast musi go cierpliwie wysłuchać i nie przerywać. Co gorsza, wyglądało na to, że nie wytrzeźwiał, przeciwnie – stan jego upojenia alkoholowego się pogłębił.

W Wendy się zagotowało. Zniesmaczenie, obrzydzenie, złość, oburzenie na jego beczelność i głupotę oraz podszyte szyderstwem rozbawienie gwałtownie zbliżały się w swoim natężeniu do poziomów alarmowych. W głowie zapaliły się czerwone lampki ostrzegawcze, a myśli skłębiły się tak, że nie umiała ich opanować, ani tym bardziej zrozumieć, poza jedną, coraz głośniejszą krzyzącą: „Uciekać! Uciekać! Uciekać!”.

Wyminęła Ronalda, zaciskając zęby oraz sypiąc z oczu złowroge iskry, i zbiegła po schodach. Gdy jeszcze była w pokoju, po stanowiła zabrać ze sobą na spacer butelkę wody mineralnej i machinalnie skierowała się do jadalni, gdzie spodziewała się jakąś znaleźć. Ronald, goniąc ją, również wpadł do jadalni i nieomal zderzył się z Wendy, gdy ta, z butelką porwaną ze stolika stojącego przy wejściu, już wracała. Zanim zdążył się odwrócić, z furją

zatrzasnęła za sobą drzwi. Ze ścian z łoskotem posypały się zdo-
biące hall obrazki.

* 6 *

Biegła do wyjścia. Po drodze, kładąc klucz na kontuarze, słodko i przeprasząco uśmiechnęła się do recepcjonistki. Mocno ujęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Przeskoczyła próg i, niczym pocisk wystrzelony z katapulty, popędziła alejką wśród ukwieconych gazo-
nów do bramy właśnie otwierającej się, aby wypuścić dostawczy samochód z piekarni. Minęła hotelowego ochroniarza, wyprzedziła pojazd i wybiegła za ogrodzenie. Ochroniarz otaksował ją, ale nie zareagował, najwidoczniej uznając, że to jogging, chociaż Wendy miała na nogach białe sandały z cieniutkimi paskami, a nie trenin-
gowe buty. W sprinterskim tempie pokonała około sto jardów ocie-
nionej krzewami kwitnącego bzu uliczki i dotarła do szosy. Tu zwolniła, rozejrzała się, a potem kilkoma susami przecięła jezdnię, umykając przed sznurem zbliżających się pojazdów.

Gnała w kierunku niedalekiej stacji kolejowej. Po kilkudziesię-
ciu sekundach wbiegła do dworcowego budynku, przebiegła po-
czekalnię, omijając nielicznych podróżnych, i przez otwarte na
oścież drzwi wypadła na peron. Stał przy nim podmiejski skład
z trzema wagonami doczepionymi do pomalowanej na zielono
elektrycznej lokomotywy. Pasażerowie już wsiedli i konduktor,
stojący przy wejściu do ostatniego wagonu, przeciągle gwizdnął
do maszynisty, podnosząc przy tym rękę. Wendy z impetem wsko-
czyła do środkowego wagonu. Drzwi zamknęły się i pociąg ruszył,
wnet nabierając znacznej prędkości.

Nie weszła do przedziału ani nie usiadła. Zdyszana opierała się o poręcz. Kątem oka dostrzegła RONALDA oraz swojego ochroniarza wbiegających na peron i rozpaczliwie machających rękami za odjeżdżającym składem. Patrząc, jak ich postaci szybko się oddalają, doznała ulgi. Jakby wyrwała się z jakiejś dramatycznej niewoli. Jakby uniknęła pułapki. Obraz malutkiej, bezradnie trzepoczącej rękami figurki RONALDA przez krótki przeblysk myśli sprawił jej złośliwą satysfakcję.

Podeksytowana swoją szaleńczą ucieczką zastanawiała się, co powinna przedsięwziąć po powrocie do hotelu, i jak powinna zareagować, spotkawszy RONA. Najlepiej będzie, unikając wszelkiego towarzystwa, doczekać przyjazdu reżysera – zdecydowała – niech on rozstrzygnie, czy odesłać RONALDA do domu, ryzykując poślizg w pracy, czy przyjąć rolę mediatora, przekonując jego i ją, żeby niezależnie od wzajemnych animozji wytrzymali ze sobą przynajmniej do końca zdjęć w Polsce.

Tocząc ze sobą tę wewnętrzną dyskusję, spoglądała przez szybę w drzwiach niewidzącymi oczyma. A szkoda – mijana okolica była piękna, otulona bujną, świeżą, soczystą zielenią poprzątkaną kolorowymi kwiatami i skrzącą się kroplami rosy w promieniach nisko położonego słońca. Tory wiodły przez łąki, przedzierały się pomiędzy krzewami, mijały stojące tu i ówdzie zabudowania oraz pojedyncze drzewa pokryte młodymi, nie w pełni rozwiniętymi liśćmi. W pobliżu torów biegła szosa, stopniowo oddalając się, by po kilku minutach dać susa w las, do którego wjechał także pociąg.

Zrobiło się ciemniej i to wyrwało WENDY z zadumy. Rozejrzała się. Las odsuwał się od torów, ustępując skrawkowi zaoranego pola. Wtem jej oczom ukazał się żółty dywan kwitnącego rzepaku,

sięgający dość odległych już drzew. Ten widok oszołomił ją. Do tej pory nie trafiła się jej okazja podziwiania w naturze tak wydawałoby się prozaicznego, a w istocie tak pięknego zjawiska. Nagle poczuła szarpnięcie. Skład gwałtownie hamował i po kilku sekundach zatrzymał się. Wyglądało to na niezaplanowany postój. Zadała sobie pytanie, czy długo to potrwa, a tymczasem otworzyły się wszystkie drzwi wagonu.

Zobaczyła przed sobą ścieżkę prowadzącą przez pole rzepaku w kierunku zagajnika, za którym na łagodnym wzniesieniu rozpościerało się miasteczko z kościołem o czerwono lśniącej w słońcu wieży, co wywołało u niej skojarzenie z barwą własnych włosów i, nie wiedzieć czemu, dodało otuchy. Pchnięta jakimś wewnętrznym impulsem (czyżby pod wpływem owego skojarzenia?), wyszła na podest i zgrabnie z niego zeskoczyła, aby zanurzyć się w pachnący łan. Kiedy tylko to uczyniła, drzwi zamknęły się równie cicho, jak przedtem się otworzyły, a pociąg drgnął i, zgrzytając metalowymi częściami, odjechał.

Przez chwilę obojętnie patrzyła za niknącymi w młodej brzezynie wagonami, po czym powiodła spojrzeniem dookoła. Ścieżka na której stała, była najlepszą, a właściwie jedyną drogą, jaką mogła pójść. Odważnie zrobiła pierwszy krok, potem drugi, trzeci... Idąc, przyglądała się na przemian poszczególnym kwiatkom rzepaku, to znów, podnosząc oczy, całemu rzepakowemu gobelinowi o żywej żółtej barwie, a następnie lasowi rosnącemu z pięćdziesiąt jardów dalej. Nieco później, wciąż obojętna na to, co zaszło, mechanicznie, niby nakręcana lalka, wkroczyła pomiędzy drzewa. Ogarnął ją cień, który po blasku słońca wzmocnionego żółcią rzepakowych kwiatów wydawał się jej gęsty i zdradliwy.

Przystanąła. Wzrok powoli przywykał do skąpego oświetlenia, wyławiając z otoczenia coraz więcej detali. W napięciu przypatrywała się zarośłom, a nie zauważywszy niczego podejrzanego, uspokojona wznowiła marsz.

Wilgotny chłód otrzeźwił ją. Zaczęło do niej docierać, że postąpiła głupio, ale i że nie wolno jej tutaj pozostać. Przyśpieszyła. Po kilkunastu krokach wkurzona zorientowała się, że brodzi w rozległej kałuży zalewającej ścieżkę, a raczej dosyć szeroką tu gruntową drogę. Nogi miała mokre od rosy perlącej się na źdźbłach rosnącej tu trawy, toteż nie odczuła zanurzenia ich w głębokim, ciemnym bajorze, i dopiero oblepianie stóp przez muliste błoto zwróciło jej uwagę. Prychnęła i przebrnęła kałużę, na krok nie zbacząc z obranej trasy.

Przypomniała sobie nocną burzę oraz wieczorną rozmowę Ronaldalda omawiającego z kimś przez telefon prognozę pogody. Wynikało z niej, że w tych stronach podczas ich pobytu będzie ciepło i słonecznie, lecz codziennie mogą występować obfite, a nawet gwałtowne, ale krótkotrwałe opady. Po przebrnięciu przez bajoro stwierdziła, że wchodzenie do niego nie było najlepszym pomysłem. Paski sandałów i nogi aż do kostek pokryły się szaroburą warstewką szlamu, a stopy nieprzyjemnie ślizgały się na podszwach. Wytarła je o mokrą trawę i obiecała sobie być czujniejsza. Tak skoncentrowała się na omijaniu licznych kałuż oraz błotnistych zagłębień drogi, że zapomniała o Ronie i w ogóle o sytuacji, w którą się wpakowała.

Choć było ciepło, zmarzła. Mokre sandały, kuse szorty z obciążonych dżinsów oraz cienka bluzeczka z krótkimi, bufiastymi rękawami nie wystarczały, ażeby chronić jej drobne ciało przed

chłodem lasu. Na szczęście ten się wkrótce skończył i powtórnie ukazało jej się złociste, zalane słońcem pole kwitnącego rzepaku. Szła, rozglądając się z zachwytem. Nacieszywszy się pięknymi pejzażami, zapagnęła podzielić się nimi z przyjaciółmi. W tym momencie zamarła. Dotarło do niej, że przy sobie ma tylko jedną rzecz, oraz że to, co ściska w dłoni, nie jest, niestety, jej smartfonem, a butelką wody zabraną z hotelowej jadalni.

Brakiem portfela nie przejęłaby się, nie posiadała zresztą polskiej waluty, ale odkrycie braku telefonu dotknęło ją bardzo intensywnie, nieomal fizycznie. Stała w pełnym blasku słońca, a znowu zrobiło się jej zimno, lecz tym razem gwałtownie, jak gdyby ktoś oblał ją kubłem lodowatej wody. Jakim cudem nie zabrała ze sobą tego najniezbędniejszego na świecie, jak się jej teraz wydawało, urządzenia? Odpowiedź była banalna – to przez upierdliwość Ronalda.

Ale przecież nie wyłącznie. Od kilku miesięcy wszystko szło nie tak i była już tym potężnie zmęczona, z czego, w sumie, dotąd nie zdawała sobie sprawy. Zmęczona na tyle, że wczoraj nie dała rady prawidłowo oszacować zachowania Rona ani zareagować na nie odpowiednio prędko i z należytą determinacją. A dziś rano eksplodowała – bodajże po raz pierwszy w życiu. Ale czy powinna się dziwić, że przy nastroju, w jakim przyleciała do Polski, jej nerwy odmówiły posłuszeństwa? Taki wybuch był nieunikniony, a o ile nie nastąpiłby dziś rano, to stałoby się to za dzień lub dwa, na przykład przed kamerą, i wtedy jego skutek mógłby być jeszcze bardziej opłakany.

Uświadomienie sobie znaczenia słowa „skutek” wstrząsnęło nią. „Tak, skutek dzisiejszego zajścia także może być opłakany

albo...” – powstrzymała się od dokończenia zdania. Szlag! Uciekła z hotelu, ba, uciekła z miejscowości, w której ten hotel się znajduje. Gdy przybyła do Polski, nie zadała sobie trudu, aby zapamiętać, jak nazywa się owa miejscowość ani jak brzmi nazwa hotelu. Nie zna tutejszego języka, jest bez pieniędzy, bez dokumentów, bez zegarka i, do cholery, co najważniejsze – bez telefonu! A z pociągu wysiadła w szczerym polu i nikt, a ona sama w szczególności, nie ma pojęcia, gdzie się podziewa! Przyszły jej na myśl sceny z filmów science fiction o przenoszeniu się w czasie i przestrzeni: pstryk! i bohater pojawia się w miejscu, którego nie poznaje. Nie odjeżdża z niego żaden tramwaj, nie da się z niego zadzwonić, a nawet nie ma go na mapie...

Snuła te spekulacje, stojąc w kolejnej kałuży. Ocknęła się. „Tu wieje grozą, a ty, droga Wendy, urządzasz sobie kąpiele błotne? A może spodziewasz się, że zaraz reżyser zawoła: »Cięcie!«? Nie, szanowna pani, nie jesteś na filmowym planie, aczkolwiek nie kto inny, jak producent napiął sprężynę napędzającą wydarzenia tego dnia” – powiedziała do siebie drżącym z emocji głosem. „Ale to ty sama wpakowałaś się w tę historię, sama więc musisz się z niej wydobyć! I wydobędziesz się, choćbyś, wzorem barona Münchausena uwalniającego się z bagna, miała się wyciągnąć za włosy” – dokończyła, wychodząc na trawę i otrzepując utyłane, ociekające wodą stopy.

* 7 *

Nad Wendy rozpościerało się niemal bezchmurne niebo i tylko po jednej, dalej od słońca położonej jego stronie kłębiły się nieliczne, puchate cumulusy. Wokół panowała cisza, jeżeli zignorowałyby się

odległe poszczekiwanie psów, świergot ptaków, monotonne buczenie tysięcy pszczół unoszących się nad żółtym dywanem rzepakowego kwiecia oraz bzyczenie krążącego przy uchu komara.

Słońce ogrzało ją i dygotała już jedynie z lęku. Swoim rozważaniom usiłowała nadać racjonalny tok. Postanowiła zacząć od analizy topografii. Za sobą zostawiła mały zagajnik, który dopiero co przebyła, a za nim, porządkowała sobie w pamięci, znajdowały się tory oraz następny, większy zagajnik. Przed nią, nieco z boku, rozlokowały się zabudowania jakiegoś gospodarstwa, a dalej, na rozległej wyniosłości, rozciągało się malownicze miasteczko z gotyckim, jak oceniła, kościołem pośrodku. W pobliskich zabudowaniach nie było widać ruchu, jakby nikt w nich nie mieszkał, choć były zadbane, a na podwórku prezentowały się maszyny rolnicze wyglądające na dość nowe. W miasteczku natomiast dostrzegała jadące samochody i zmierzających do centrum ludzi.

Wypiła parę łyków z butelki i dziarsko ruszyła naprzód. Jej plan to wejść do miasteczka, poszukać posterunku policji i poprosić o możliwość zadzwonienia do...

Myśl raptownie się urwała. Zwolniła. Przecież nie zna numeru telefonu do nikogo z ekipy. Nie pamięta nawet numeru do aktualnego producenta ani do żadnego ze swoich byłych producentów czy reżyserów, do których nie raz dzwoniła. Nie potrafiła również przypomnieć sobie kontaktu do Adriana, do swojego agenta ani do kogokolwiek innego. Te numery znał tylko jej smartfon... ale nie było go przy niej.

Ponownie poczuła chłód, lecz tym razem płynący gdzieś z żołądka, jakby zrodziła się w nim bryła lodu. Zaklęła, przywołując się do porządku. Ponieważ nie ma jak zadzwonić, poprosi

policjantów, aby zawieźli ją do hotelu. Oczywiście jeśli trzeba, zapłaci im za podwózkę. Nie zna nazwy, ale opisze im ten hotel i na pewno będą wiedzieli, gdzie go szukać. Nie ma chyba w pobliżu wielu takich obiektów? W pobliżu?

No właśnie, jak bardzo się oddaliła? Pociąg jechał maksimum ze dwadzieścia minut, zanim się zatrzymał, a nie pędził z jakąś zawrotną prędkością, chociaż i nie włókł się, czyli pokonał kilka, góra kilkanaście mil. Może wobec tego należałoby zawrócić? Idąc wzdłuż torów, dotarłaby na stację, na której wsiadła do wagonu. Spojrzała na swoje sandałki. Były śliczne i całkiem wygodne, ale przejście w nich kilkunastu mil wzdłuż torów wydało się jej czymś zupełnie niewykonalnym. A i sam przemarsz po odludziu niepozabawiony byłby ryzyka. Pozostawał więc plan „A”, czyli komisariat. „Ujdzie, pod warunkiem, że policjanci będą znali angielski” – coś w niej wypatrywało argumentów przeciw. ”W najgorszym razie ściągną sobie jakieś wsparcie. Polska to cywilizowany kraj, a nie koniec świata” – burknęła zła na siebie, że mitręży czas szukaniem dziury w całym.

...

Tekst został przygotowany za pomocą edytora
OpenOffice 4.1.3, 4.1.6 oraz 4.1.11
Apache License Version 2.0, January 2004
<http://www.apache.org/licenses/LICENSE-2.0>

Copyright © 2019/2022 by J.K. Kukuła

Wszelkie prawa zastrzeżone! Kopiowanie, adaptowanie, tłumaczenie i publikowanie treści niniejszej powieści w całości lub we fragmentach, dowolną techniką i w dowolnym celu, z wyjątkiem cytowań, bez pisemnej zgody autora jest zabronione.